

Z frontu walki o pokój

5 czerwca 2011

Najważniejszym wydarzeniem tygodnia w naszym nieszczęśliwym kraju jest wyrok niezawisłego sądu wojskowego, uniewinniający wszystkich podejrzanych o popełnienie zbrodni wojennej w Nangar Khel w Afganistanie. Zginęli tam cywile w postaci kobiet i dzieci, omyłkowo uznani za talibów. Jak wiadomo, talibowie i w ogóle – terroryści, rzadko kiedy pojawiają się we własnej straszliwej postaci. Najbardziej lubią przebierać się właśnie za kobiety i dzieci – jak to miało miejsce np. w strefie Gazy – ale kiedy nawet w tym przebraniu zostają zdemaskowani, wówczas dosięga ich surowa ręka sprawiedliwości ludowej. Okazało się, że tak właśnie było również w Nangar Khel. Wypada tylko dodać, że surowa ręka sprawiedliwości ludowej nie tylko za złe karci, ale również nagradza za dobre i dlatego właśnie rodziny talibów przebranych za kobiety i dzieci nie tylko otrzymały odszkodowanie, ale nawet zostały otoczone opieką Rzeczypospolitej. „Stąd nauka jest dla żuka”, że nie ma rzeczy doskonałych, zwłaszcza jeśli chodzi o przebranie, ale też – absolutnie złych, no, może z wyjątkiem wybitnego przywódcy socjalistycznego Adolfa Hitlera. Chociaż bowiem już nie żyje i bronić się nie może, tak samo jak np. JE abp Józef Życiński, każdy skacze mu na reputację niczym na pochyłe drzewo, a czasami jeszcze bierze za to pieniądze za pośrednictwem np. antyfaszystowskich organizacji pozarządowych.

Zresztą mniejsza o Hitlera, bo przecież idzie o co innego. Sprawa owych żołnierzy trafiła do niezawisłego sądu po śledztwie dość długim, nawet jak na niezależną prokuraturę. Jak wiadomo, dzisiaj w zawodach prawniczych sytuacja jest szalenie napięta i pewnie dlatego, jeśli już ktoś został, dajmy na to, prokuratorem, to bardzo swoją pracę szanuje, starając się, by każdy przypadek mógł dostarczyć mu zajęcia może nie aż do emerytury – ale gdyby nawet, to cóż w tym

właściwie złego? Tę prostą zależność dodatkowo komplikują zamówienia społeczne. Pół biedy, kiedy grupa trzymająca władzę przemawia jednym głosem. Gorzej, kiedy w grupie trzymającej władzę dochodzi do nieporozumień np. na tle podziału łupów. Wtedy bardzo trudno jest dogodzić komukolwiek, w związku z czym opinia publiczna zaczyna odnosić wrażenie jakiegoś braku koordynacji w wymiarze sprawiedliwości. Tak właśnie było nie tylko w sprawie morderstwa Krzysztofa Olewnika, ale i w tym przypadku. Niezależna prokuratura dopatrzyła się w postępowaniu żołnierzy ciężkich zbrodni, podczas gdy niezawisły sąd te podejrzenia rozwiązał, zaznaczając jednakowoż, że były one uzasadnione. Oczywiście uzasadnione na poprzednim etapie, podczas gdy na etapie obecnym okazały się nieuzasadnione. Ponieważ wyrok nie jest jeszcze prawomocny, również sytuacja uniewinnionych żołnierzy może się zmienić – chyba żeby w tej sprawie grupa trzymająca władzę jakoś się porozumiała. W tym kierunku, jak się wydaje, zmierzają usiłowania generała Sławomira Petelickiego, który zabiega, by wszystkich uniewinnionych przyjął prezydent Komorowski. Domyślam się, że dla każdego byłby to czytelny sygnał, że bez względu na etap, causa jest finita, a wtedy również i każdy policmajster powinność swej służby zapewne by zrozumiał.

Tedy w oczekiwaniu aż iustitia się bardziej ustabilizuje spróbujmy zastanowić się, o co właściwie w tym całym Afganistanie chodzi, podobnie jak wcześniej w Iraku, no a teraz – w Libii. Oczywiście sytuacja w każdym z tych miejsc różni się od siebie zasadniczo i o ile na przykład w Libii mamy do czynienia z „kinetyczną operacją militarną”, której celem jest ochrona tamtejszych cywilów przed złym Muammarem Kadam, to w Iraku trwa operacja pokojowa, podczas gdy w Afganistanie – misja stabilizacyjna. Całe szczęście, że nigdzie nie ma wojny, co zresztą jest zgodne z przepowiednią udzieloną w swoim czasie słuchaczowi Radia Erewań. Zaniepokojony zapytał, czy będzie wojna, więc Radio Erewań uspokoiło go, że wojny w żadnym wypadku nie będzie, natomiast rozgorzeje taka walka o pokój, że nie zostanie nawet kamień na

kamieniu. I tak właśnie jest; wojny dzisiaj nigdzie nie ma i pewnie dlatego moje pytanie skierowane do pana ministra Klicha, kiedy nasze dzielne wojska wyszły z Iraku – czy wygraliśmy tę wojnę, czy nie – bo jeśli wygraliśmy, to gdzie są łupy, jeńcy i branki, a jeśli przegraliśmy, to kogo postawić pod ściankę – pozostało bez odpowiedzi.

Ale jeśli na takie pytanie odpowiedź nie może być z wyłuszczonych wyżej powodów udzielona, to przecież można postawić pytanie następne – z kim właściwie nasze dzielne wojska wojują. W Afganistanie wiadomo – z talibami – ale jaki właściwie jest status tych całych talibów? Czy są oni wojskowymi, czy nie – bo jeśli są wojskowymi, to jakaż to „misja stabilizacyjna”? Kiedy jakieś wojsko walczy z wojskiem, to wygląda to na wojnę, podczas gdy określenie „misja stabilizacyjna” sugeruje raczej operację policyjną, podczas której ma się do czynienia ze zbuntowanymi cywilami. Wygląda zatem na to, że ci talibowie to tak naprawdę zwyczajni cywile, tyle – że uzbrojeni. Ale w Libii tamtejsi cywile też są uzbrojeni, mimo to NATO ich przy pomocy bombardowań chroni, podczas gdy w Afganistanie takich samych uzbrojonych cywilów bombarduje. Musi to być jakaś strasznie ważna tajemnica wojskowa, więc lepiej nie drążmy tego tematu dalej, żeby nie spotkało nas coś złego – chociaż warto wyciągnąć przynajmniej jeden wniosek, że cywil cywilowi nierówny. No dobrze – ale skoro tak, to skąd taki, dajmy na to, żołnierz ma wiedzieć, z jakim cywilem ma akurat do czynienia? Czy powinien go „chronić”, czy przeciwnie – tępić bez miłosierdzia? W czasach, gdy służyłem przy wojsku, nikt się w takie subtelności nie bawił, więc ze zrozumieniem przyjąłem zeznania złożone przez ministra Klicha podczas przesłuchania przez Monikę Olejnik, że MON zintensyfikowało „szkolenia humanitarne”. Jużci – żołnierz humanitarnie przeszkolony może rozróżni, czy ten cywil, którego widzi przed sobą, jest nasz, czy też – jakiś taki nie nasz, dzięki czemu uniknie bliskich spotkań III stopnia z niezależnymi prokuratorami, a najwyżej wróci do kraju jako bohater – oczywiście martwy.

Skoro jednak, ze względu na tajemnicę wojskową, nie możemy drażyć sprawy stron stabilizowanych misyjnie, to spróbujemy odpowiedzieć chociaż, o co w tym wszystkim chodzi, o co właściwie się tak stabilizują. W przypadku Libii sprawa wygląda na prostą; po pierwsze, chodzi o ustanowienie kieszonkowego imperium w postaci Unii Śródziemnomorskiej, dzięki której można będzie eksploatować libijską ropę – oczywiście za pozwoleniem tamtejszych cywilów, to jasne! Każdy rozumie, że takich cywilów trzeba zawczasu odpowiednio przygotować, żeby potem, kiedy już „kinetyczna operacja militarna” zakończy się sukcesem, nie było konieczności rozpoczynania misji pokojowej, jak to miało miejsce w Iraku. Nie jest to zadanie łatwe, bo tacy cywile nie rodzą się na kamieniu. Przeciwnie – trzeba ich szukać, niczym igły w stogu siana i każdy, kto to robił, wie, po ilu pomyłkach trzeba zatrzeć ślady, zanim trafi się na tego właściwego. Ale w Afganistanie właściwego cywila Amerykanie znaleźli od razu i to w dodatku – w Ameryce, więc nie powinno być problemu. Tak to wygląda, ale tylko z pozoru. Kiedy przebiegamy myślą historię ostatniego półwiecza XX wieku, jak na dłoni widzimy, że wszystkie zgryzoty, z jakimi na szerokim świecie spotykali się Amerykanie, były spowodowane przez ich własnych agentów, którzy się przeciwko nim zbuntowali, albo przeciwników, których sobie sami wyhodowali. Takim agentem był przecież Ho Szi Min w Indochinach, takim był Saddam Husajn, takim wreszcie – Osama bin Laden, zaś Lynn Picknett, Clive Prince i Stephen Prior – autorzy książki „Od własnej kuli – tajna wojna między aliantami”, nie pozostawiają wątpliwości, że przy pomocy Harry’ego Hopkinsa, który był najpożyteczniejszym agentem Stalina – Stany Zjednoczone wyhodowały sobie przeciwnika, z którym przez następne 50 lat wielkim wysiłkiem przepychały się po całym świecie. Kiedy więc słyszymy, jak „prezydent” Afganistanu Hamid Karzaj udziela Ameryce „poważnego ostrzeżenia” z powodu zbombardowania kolejnego wesela tamtejszych cywilów, to mogą ogarnąć nas złe przeczucia. W czasie wojen opiumowych takie sprawy załatwiano inaczej – ale – jak słusznie zauważył Boy-Żeleński – „dawniej ludzie mniej

mieli kultury, lecz byli szczerzy” – a przecież bogactwem Afganistanu jest przede wszystkim opium. To nie można by go produkować, dajmy na to, w Polsce, zamiast urządzać misje stabilizacyjne? Przy odpowiednim systemie zachęt z Unii Europejskiej wydajność plantacji maku w Polsce może być wielokrotnie większa niż w Afganistanie, dzięki czemu również polska wieś mogłaby wreszcie żyć godnie i dostatniej i to bez żadnych bombardowań – no a grupa trzymająca władzę miałaby wreszcie jakąś złotą żyłę i mogłaby zaprzestać narzekań na Antoniego Macierewicza.

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Goniec](#)